



AMO JONES

Nicko

Miał ją chronić, ale
zamiast tego ją zawiódł.
Jak oni wszyscy.



Tytuł oryginału

Sicko

Copyright © 2018 by Amo Jones

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne

Oświęcim 2023

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Agnieszka Sajdyk

Korekta:

Justyna Nowak

Edyta Giersz

Dominika Kalisz - Sosnowska

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-650-9

AMO JONES

SICKO

TŁUMACZENIE

DAWID ŚWIONDER

OŚWIĘCIM 2023

DEDYKACJA

Tę książkę dedykuję mrokowi, który we mnie tkwi.
Tym razem drań dał mi się nieźle we znaki.

OD AUTORKI

Jak większość z Was wie, zazwyczaj nie umieszczam w swoich książkach ostrzeżeń dotyczących treści. Główny gatunek, w jakim się poruszam, to mroczny romans, więc zakładam, że czytelnicy sięgający po historie Amo Jones są świadomi, iż będą mieć do czynienia z czymś mrocznym i pokreślonym.

Ta książka jest jednak inna. To „mój własny poziom” mrocznego romansu. Jest naprawdę mroczna. Niekiedy sprawi nawet, że poczujecie się nieswojo – lecz nie tak, jak jesteście do tego przyzwyczajeni. Zawiera bowiem sceny, które z pewnością wzbudzą w Was poczucie dyskomfortu.

W żaden sposób się nie hamowałam: napisałam te postacie w możliwie najbardziej wiarygodny sposób, ponieważ Wy, czytelnicy, na to zasługujecie. To nie jest lukrowana historia, która ma się łatwo przyswajać. Każdy jej fragment jest jak szklanka tequili, którą należy przełknąć, aby poczuć jej efekty.

Nie lekceważcie, proszę, tego ostrzeżenia. Te postacie w niczym nie przypominają tych, które dotychczas stworzyłam. Sama historia również jest dla mnie czymś nowym.

To naprawdę MROCZNA książka, a każde zawarte w niej słowo i scena mają swój cel. I nie jest nim zwykłe szokowanie. To po prostu historia, którą trzeba było opowiedzieć właśnie w taki sposób.

Jeśli nadal tu jesteście, to zgaduję, że jednak chcecie ją przeczytać... W takim razie: Zapraszam...

Był moim przybranym bratem.

Przysięgał, że będzie mnie chronić.

Zawiódł tak jak oni wszyscy.

Jestem niczym otwarte pudełko pełne wyblakłych fotografii wykonanych w pełnym słońcu i wywołanych w sepii. Stanowią przeszłość, o której chciał zapomnieć, a on – przyszłość, której potrzebuję. Kiedy zniknął cztery lata temu, co noc wykrzykiwałam jego imię. Potem przestałam. Moje krzyki stłumiło okrucieństwo, a mnie spętał ból.

Ale on wrócił. I bynajmniej nie jest już tym „starszym bratem”, w którym się potajemnie podkochiwałam, ani typem łobuza czy bogatego hulaki, którego nienawidziłam kochać.

Nie. Jest za to bezwzględny liderem klubu motocyklowego Wataha i nie reaguje już na imię Royce Kane.

Teraz mówią na niego Sicko.

PROLOG

Royce

Zauważyłem kobietę.

Miałem metr dziewięćdziesiąt, a ona musiała być niższa ode mnie o jakieś trzydzieści centymetrów. Chciałem przyjrzeć się jej z bliska, żeby zrozumieć, dlaczego tak bardzo przykuła moją uwagę, ale szelest walających się dookoła liści sprawił, że nie potrafiłem się skupić i wymyślić, o co mógłbym ją zapytać. Poza tym byłem zbyt pochłonięty analizowaniem, dokąd zaprowadziło mnie życie.

A było to jebane dno, od którego nie miałem nawet jak się odbić.

Ścisnąłem mocniej spust pistoletu do paliwa. *Kurwa, co to za kobieta?* Była drobnej budowy i miała na sobie za dużą, niechlujnie założoną, bluzę z kapturem. Długie ciemne włosy opadały jej falami na ramiona. Nie miałem za bardzo jak się przyjrzeć jej twarzy. Wyraźnie robiła wszystko, co mogła, by ją ukryć. Domyśliłem się jednak, że czegoś chciała, bo – choć się nie ruszała – stała wyraźnie zwrócona w moją stronę, intensywnie się we mnie wpatrując.

Kiwnąłem do niej uprzejmie głową, gdy zorientowałem się, że nie odpuszcza i wciąż na mnie patrzy. Popadałem już w jebaną paranoję. Po tym, co właśnie się stało i co przeszliśmy, musiałem stąd jak najszybciej wypierdalać.

Dziewczyna w odpowiedzi na mój gest odchyliła nieco kaptur, a ja ujrzałem jej wielkie zielone oczy, które były skoncentrowane na mnie. Zerknęła badawczo na tył mojego samochodu, a potem wreszcie do mnie podeszła.

– Uciekasz przed czymś, przystojniaku? – zapytała głosem tak chrapliwym, jak gdyby paliła tytoń przez całe życie. Poza tym kapturem nie dostrzegalem w niej niczego podejrzanego.

Zaśmiałem się cicho.

– Mniej więcej.

Na sekundę, a raczej, kurwa, na ułamek sekundy, jej oczy spowił mrok. Był niemal jak chmura, która przesłania nagle słońce w jasny, letni dzień. Zniknął jednak tak szybko, jak się pojawił.

Uniosła kąciki ust w uśmiechu.

– Na obrzeżach centrum Los Angeles jest pewne miejsce. Bar o nazwie Patches. – Zmierzyła mnie wzrokiem. – Co prawda nie gwarantuję, że pozwolą ci tam zostać, piękniśiu, ale nie zaszkodzi spróbować.

Byłem zaskoczony całą sytuacją. Słuchałem jej do momentu, aż za moimi plecami zapiszczał dystrybutor z paliwem. Wtedy poszedłem zapłacić za benzynę, ale kiedy wróciłem, żeby jej podziękować za propozycję – już jej nie było.

ROZDZIAŁ 1

Jade

Chciałabym móc przypomnieć sobie dzień, w którym rodzina Kane'ów przyjęła mnie do siebie. Byłam jednak malutka i jeszcze nie potrafiłam tworzyć świadomych wspomnień. Miałam kilka dni, kiedy porzucono mnie na progu sierocińca mieszczącego się w jednej z bardziej zapuszczonych dzielnic San Francisco. O tamtych wydarzeniach wiem niewiele, ale nie dlatego, że Kane'owie nic mi nie powiedzieli – po prostu nigdy ich o to nie pytałam. Wystarczył mi sam fakt, że rodzice porzucili mnie jako noworodka. Szczęśliwym trafem następnego dnia w sierocińcu zjawili się państwo Kane'owie. Chcieli zaadoptować chłopca, aby sprawić swojemu rozwydrzonemu synalkowi braciszka, z którym mógłby się bawić.

Ostatecznie przyprowadzili mu jednak siostrzyczkę.

Royce miał trzy lata, gdy zjawiłam się w ich domu. Powiedział, że nie był zadowolony z siostry, to nie powiedział nic...

Niemniej po jakichś czterdziestu pięciu minutach odezwał się wreszcie i przekonał do mnie na tyle, że później nasze buzie już się nie zamykały. Teraz mam piętnaście lat i, jakby to ująć, trochę się pozmieniało.

– Royce! – krzyczę do mojego irytującego brata. Zabrał mi telefon i teraz biega z nim wokół boiska do koszykówki, które mieści się za naszym domem. – Oddawaj to, do kurwy!

Zaśmiewa się przy tym tak głośno, że mam ochotę kopnąć go w głowę. Przez ostatnie lata stał się niesamowicie denerwujący. Nie mam jednak cienia wątpliwości, że gdybym znalazła się

w potrzebie, to właśnie on byłby pierwszą osobą, do której mógłbym się zwrócić o pomoc.

Podbiegam do niego, ale on zatrzymuje się nagle, przez co wpadam twarzą na jego plecy i odbijam się. Podczas upadku miga mi tylko przed oczami błękit nieba i oślepiający blask słońca.

Nie ląduję jednak na ziemi, ponieważ w ostatniej chwili łapie mnie w pól i stawia z powrotem na nogi.

– O nie, nie dam ci tak łatwo zginąć, Księżniczko. Wisisz mi jeszcze dwadzieścia doliców.

Odpychając się od niego, zauważam, jak twarde ma mięśnie, ale nakazuję sobie to zignorować.

– Oddaj mi mój telefon! – Wyciągam ku niemu otwartą dłoń, opierając drugą na biodrze.

– Słyszałem, że jeden ze „świeżaków” w szkole chce zabrać moją siostrzyczkę na randkę... – drażni się ze mną. Nagle z tyłu ktoś gwizdże tak mocno, że niemal pękają mi bębenki. Do rozmowy włącza się Orson.

– Co to, ktoś nie zna jeszcze zasad? Nie wie, że małej panny Jade Kane nie zabiera się na randkę bez pozwolenia jej starszych braci? – Jak można się spodziewać, mój irytujący brat ma również irytujących kumpli, którzy irytująco roszczą sobie prawo do obrony mojego tyłka. W szkole zyskałam przez to status nietykalnej, co jest jednak trochę dokuczliwe, bo wcale nie miałabym nic przeciwko byciu dotykana.

– Jest nowy, więc wszystko mu uprzejmie wyjaśnię – zwracam się do Royca, patrząc, jak przesuwa kciukiem po ekranie mojego telefonu. Jestem pewna, że gdybym dostała teraz SMS-a, nie zawahałby się go... *Biiip*.

Kurwa.

Przechyla głowę. Z przerażeniem patrzę, jak odczytuje wiadomość.

Spogląda na mnie.

– Co to za chujek?

– A co napisał? – pyta Orson, przeczesując dłonią swoje ciemne, kręcone włosy. To najlepszy przyjaciel mojego brata. Ma prawie dwa metry wzrostu, przez co może stać się bogiem koszykówki, a jakby tego było mało, natura wyposażyła go w śródziemnomorską urodę. Nie wiem, jak to się stało, że tak się zaprzyjaźnili – w końcu Orson jest utalentowany i skończył liceum z najlepszymi wynikami. Royce co prawda nie jest głupi, ale potrafi zachowywać się jak idiota, czym tworzy niekiedy mylne pozory, że jest nim naprawdę. Poza tym Orson został właśnie draftowany do NBA¹, co tylko wydłużyło listę powodów, dla których uganiania się za nim tyle dziewczyn. Mocno podkochiwałam się w nim przez większość swojego życia, ale tylko do czasu, aż na własne oczy zobaczyłam, że gustuje wyłącznie w pięknościach, którym nie dorastam nawet do pięt... Jego gładka śniada skóra i ciemnozielone oczy robią zabójcze wrażenie. Jednak to na widok uśmiechu wszystkim dziewczynom miękną kolana. Pod tym względem obaj z Roycem są do siebie podobni, aczkolwiek na tym podobieństwa się kończą.

– Kurwa, chce, żeby się wymknęła – warczy Royce, pisząc od razu odpowiedź.

– Royce – upominam go. – Mam już, kurwa, piętnaście lat. Nie takie rzeczy robiłeś w moim wieku. Dobrze o tym wiesz.

– To nie ma znaczenia. – Rzuca mi spojrzenie z kciukiem zawieszonym nad ikonką „Wyślij”. – Przeszedłem piekło po to, żebyś ty nie musiała. – Puszczą mi oczko. – Opiekuję się tobą, jak na dobrego brata przystało.

– Royce – zawodzę, tupiąc o asfalt.

Orson odbija kilka razy piłkę między nogami, po czym rzuca do kosza za trzy.

– Dalibyście jej odetchnąć... – Odzywa się kolejny znajomy głos. Odwracam się, by spojrzeć na trzeciego chłopaka, który uzupełnia paczkę. Jest nim Storm Mitchell. Wszyscy trzej kum-

¹ Draft NBA – coroczny proces, w którym kluby ligi NBA pozyskują prawa do nowych zawodników (przyj. red.).

plują się od podstawówki, co oznacza, że praktycznie znam ich od małego. Mitchell w niczym jednak nie przypomina Orsona ani Royca. To najbystrzejszy i najinteligentniejszy dzieciak w naszej szkole. Nigdy nie miał dziewczyny, choć niejedna jest nim zainteresowana, ale za to wszędzie nosi ze sobą swój laptop. Stormy to jeden z tych, którzy pewnego dnia uwolnią świat od wszelkich problemów. Musi tylko stworzyć odpowiednią aplikację. Jest blondynem o szarych jak gniewne niebo oczach i gęstych rzęsach. Ma śnieżnobiałą skórę i prościutkie zęby. Chodzący ideał w nieco specyficznym opakowaniu. Uwielbiam go, mimo że nigdy się nie uśmiecha. Można się do tego przyzwycząić.

– Właśnie – przytakuję Stormowi podwijającemu rękawy swojej koszuli. – Roy chce wystraszyć chłopaka, któremu i tak zamierzałam odmówić.

– Bo namawia cię, żebyś wymknęła się po zmroku. – Royce prychnął z wymownym uśmieszkiem, przez który aż mam ochotę mu przywalić. – Później oddam ci telefon – mówi, jakby to było normalne, a następnie odwraca się i zaczyna odchodzić.

– Roy! – krzyczę, ale on nie reaguje. – Mówię serio! Będę łązić za tobą tak długo, aż oddasz mi ten cholerny telefon!

Spogląda na mnie i oblizuje usta, które zawsze przykuwają moją uwagę. Są tak kurewsko delikatne. W zeszłym roku Jessica Rueben przespała się z nim, a potem opowiadała w szkole o jego, jakby to ująć, umiejętnościach. Kiedy jednak okazało się, że od początku w ogóle nie zamierzał się z nią zadawać po tej nocy, ryczała miesiącami.

– Ach tak? – Idzie tyłem z tym swoim uśmieszkiem przyklejonym do twarzy. Fakt, że mój brat jest boleśnie wręcz atrakcyjny w ogóle nie pomaga, kiedy się kłócimy. – No to idziesz z nami na łódź.

– Kurwa.

Znika wewnątrz domu, a ja odwracam się, by zobaczyć, jak Orson wykonuje kolejny rzut za trzy. Nie uśmiechało mi się iść

dziś z nimi na imprezę, bo wbrew temu, co powiedziałam, tak naprawdę zamierzałam wymknąć się i spotkać z Colsonem.

– Wiesz, powinnaś przestać bawić się z tym chłopakiem...
– drażni się ze mną Orson, zręcznie kozłując piłką między nogami. Po chwili unosi ją oburącz i rzuca z nadgarstka wprost do kosza. – Tańczysz z diabłem.

– Diabeł nie tańczy. – Pokazuję mu język i biegnę do domu. Imprezy na łodziach to normalka w przypadku bogatych dzieciaków. Zawsze jednak kończą się katastrofą. Nie cierpię tam chodzić, bo: nie piję, nie śpiam z chłopakami – za co winić należy Royca – ale przede wszystkim uważam się za dość poukładaną dziewczynę.

Szczególnie jeśli porówna się mnie z moją najlepszą przyjaciółką Sloane.

Wbiegam po marmurowych schodach na piętro i stoję przed drzwiami mojej sypialni. Pokój Royca mieści się tuż obok. Jego drzwi są nieco uchylone. Chociaż wydajemy się swoimi przeciwnieństwami, tak naprawdę nie potrafilibyśmy bez siebie żyć. Nic dziwnego, że gniew już mi minął, a przecież dopiero co się kłóciliśmy – większość naszych scysji tak się kończy.

Łapię więc za klamkę, a potem popycham lekko drzwi, otwierając je. W pokoju panuje mrok, osobliwy nastrój i bałagan. Na ścianach o barwie świeżo przelanej krwi znajdują się dodatki w kolorze białego jedwabiu, a wszystkie meble wykonane są ze zmatowiałego, postarzałego drewna. Łóżko natomiast przypomina coś wziętego wprost z wiktoriańskiego porno. A skoro już o porno mowa: w całym pomieszczeniu wisi cała masa zbereźnych plakatów i obrazków.

Czuję, że się rumienię i pocą mi się dłonie.

– Oddasz mi, proszę, telefon?

Leży oparty o wezglowie łóżka, bez koszulki, z jedną nogą zwieszoną obok krawędzi, a drugą przyciągniętą do piersi, tak aby oprzeć łokieć o kolano. Wpatruje się we mnie nieco przy-

mrużonymi, ale błyszczącymi oczami. Taki właśnie jest Royce: zadziorny, bezczelny i kurewsko świadomy wszystkich swoich zalet, dzięki którym owija sobie innych wokół palca. Doskonale wie, jak działa na płęć przeciwną i skrzętnie to wykorzystuje. Nie wiem tylko, dlaczego teraz próbuje pogrywać sobie ze mną.

– Roy? – mamroczę, starając się z całych sił nie spoglądać na jego tors. Ostatecznie to nic takiego, przecież widziałam go już parę razy nago. Z różnych powodów, takich jak to, że często chodzi roznegliżowany, albo to, że mamy wspólną łazienkę. Z kąta, gdzie stoi jego boombox, dobiegają ciche dźwięki *Blueberry Yum Yum*. Typowe, w końcu ma szczególną słabość do starszych kawałków Ludacrisa.

Przechyla głowę.

– Chcesz się z nim wymknąć? – pyta groźnym tonem, w którym daje się jednak wyczuć fascynację. Przesuwa dłoń po swoim umięśnionym ciele, aż dociera do guzika spodni. Rozpina je, po czym wstaje, rzucając mój telefon na łóżko.

Odpycham się od framugi, gotowa, żeby rzucić się po swoją własność.

– No to proszę, Księżniczko. – Spogląda mi w oczy, wyginając swoje miękkie usta w uśmiechu, czym nieco obnaża niepokojąco proste zęby. Z ręką w spodniach wykonuje gest brodą. – Weź go.

Nagle doznaję jakiegoś spięcia w mózgu. Próbuję przekonać siebie, że nie było w tym żadnego podtekstu. *To mój brat.*

Robię dwa kroki, po czym rzucam się i ładuję brzuchem na łóżku. Udaje mi się chwycić telefon, przez co uśmiecham się triumfalnie. Mina mi jednak natychmiast rzednie, ponieważ on nagle łapie mnie za włosy i mocno ciągnie do tyłu. Przetykam ślinę, która spływa z trudem przez naprężone gardło. Odchyła mi głowę coraz bardziej. Mam nadzieję, że nikt nagle nie wejdzie do pokoju, bo wygląda to jak jakaś kazirodcza wersja *Pięćdziesięciu twarzy Greya*.

Zerkam na niego kątem oka, podczas gdy on nie puszcza i obserwuje mnie z tyłu.

– Hmm, widzisz? Nie chcę wyobrażać sobie jakiegoś śmiecia, patrzącego na ciebie z dokładnie takiej perspektywy. – Wiedzie wzrokiem po moich plecach, aż dociera do tyłka. – Bardzo bym się wściekł. – Znów zerka mi w oczy i oblizuje dolną wargę. – A wiesz przecież, jak się zachowuję, kiedy robię się wściekły, Księżniczko. – Macha porozumiewawczo brwiami.

Klepię go w rękę, na co roześmiany odrzuca głowę w tył, a pomieszczenie wypełnia się jego głośnym rechotem. Aż łapie się za brzuch.

– Przepraszam, Księżniczko. Już tak nie zrobię.

Staczam się z łóżka.

– Kutas z ciebie. – Gdy docieram do bezpiecznego miejsca, to znaczy do drzwi, odpyskowuję mu: – Nie miałabym nic przeciwko, gdyby tak na mnie patrzył. – Jego śmiech natychmiast cichnie. Rzuca mi lodowate spojrzenie i robi krok w moją stronę.

– Wypluj te słowa.

Teraz moja kolej, by pomachać do niego brwiami.

– Nigdy!

Rzuca się na mnie, ale jestem zbyt szybka. Odwracam się na pięcie i z krzykiem dopadam do drzwi mojego pokoju. Wślizguję się do środka, ale kiedy próbuję je zatrzasać, on blokuje je ręką.

Znów wydaję z siebie krzyk.

– Royce! – Serce wali mi jak młot, a wewnątrz zalewa fala gorąca. – Przepraszam!

Nagle wpada do środka i obejmuje mnie ramieniem za plecy tak, że padamy razem na łóżko. Puszysta żółta kapa amortyzuje upadek.

– Royce! – Próbuję go odepchnąć. Jednocześnie zaczynam się mimowolnie śmiać.

Chwyta mnie za nadgarstki, by po chwili unieruchomić mi ręce nad głową.

– Obiecay, że nie będziesz się z nim pieprzyć.

Wreszcie mój śmiech ustaje, a ja spoglądam mu w oczy. Jest tak blisko, że czuję żar bijący od czubka jego nosa.

– Co? – pytam. – Dlaczego mówisz coś takiego?

Napina szczękę.

– Po prostu obiecay, Księżniczko – mówi łagodnym, ale wyraźnie zbolalym tonem. Dlaczego to ma dla niego aż takie znaczenie?

– Royce – pryham, przyglądając się badawczo jego delikatnej, opalonej cerze i mocno zarysowanej linii szczęki. Nie ma tatuaży, ale co rusz wspomina, że chciałby sobie jakiś zrobić. Wpatruje się we mnie bez wyrazu, ani nawet tego swojego uśmiešku. Kręcę głową. – Obiecuję, ale, Roy, nie musisz się tym martwić. – Spoglądam wymownie na mojego nadgorliwego brata.

– Och, doprawdy? – Wędruje tymi niebieskimi oczami od mojej szyi ku piersiom, po czym mówi: – Pozwól, że się, kurwa, z tobą nie zgodzę.

– Royce... – odzywam się ostrzegawczym tonem.

– Jade – szepcze, przedrzeźniając mnie.

– Nie musisz się tym przejmować. W ogóle. – Ponownie robię wielkie oczy w nadziei, że zrozumie.

– No co, przecież wiem, że jesteś dziewicą. – Wreszcie niepokój na jego twarzy zastępuje uśmiešek. – Mała, jak sądzisz, kto trzyma ich wszystkich z dala od ciebie? – Zasepiam się, ale zanim mogę cokolwiek powiedzieć, zeskakuje ze mnie i idzie do wyjścia. – Bądź gotowa za dwie godziny, tylko nie bierz Sloane. – Mój brat dobrze wie, że nie ma opcji, bym zostawiła ją w tyle.

Wychodząc, zatrząskuje za sobą drzwi, a ja żegnam go środkowym palcem. Łapię telefon i otwieram listę kontaktów, żeby poinformować Sloane o imprezie. Nagle jednak dostaję wiadomość.

Royce: Serio. Nie zapraszaj jej. Bo wyrzucę ją za burtę.

Kręcę głową z dezaprobatą. Układam się na brzuchu i przewijam swoją playlistę. Poprzez Bluetooth łączę się z zestawem stereo, żeby puścić *Sacrifice* Jessie Reyez.

Ja: Muszę mieć ze sobą przyjaciółkę.

Royce: Od kiedy to niby potrzebujesz przyjaciółki? Poza tym masz przecież starszych braci. Godzina i piętnaście minut.

Rzucam telefon na łóżko, przeklinając pod nosem. Ma rację, ale z drugiej strony widać, że nie rozumie dziewczyn. Zwłaszcza takich jak Sloane. Jeśli jej ze sobą nie wezmę, uzna to za całkowitą zdradę, a przez to dostanie szału.

Wstaję i zaczynam zbierać potrzebne mi rzeczy. Właściwie to uwielbiam imprezy na łodziach, o ile ich celem nie jest totalne najebanie się w towarzystwie idiotów. Przynajmniej odzyskałam telefon. Mogłabym więc ich olać i wymknąć się już teraz...

Wtem drzwi otwierają się na oścież, uderzając aż o ścianę. Moim oczom ukazuje się Royce z nikczemnym uśmiechem.

– Nawet o tym nie myśl.

Wzdycham i wyciągam bikini z szafy.

– Daj mi parę minut. – Zamykam się w łazience, gdzie zakładam pastelowy strój kąpielowy oraz szorty. Daruję sobie koszulkę, bo jeśli chodzi o moje piersi, to i tak nie bardzo mam co zasłaniać. Z ostatniej szuflady wyciągam niewielką białą apaszkę, za pomocą której zwiążuję swoje długie, brązowe włosy na czubku głowy.

– Pospiesz się! – Royce wali do drzwi, na co aż podskakuje. Pokazuję mu przy tym środkowy palec.

– Już idę! – Biorę jeszcze ręcznik i kieruję się do pokoju, energicznie otwierając drzwi łazienki. – Czyją łódź bierzemy?

Mój przybrany brat przygląda mi się nerwowo. Większość dziewczyn zarumieniłaby się w takim momencie, ale ja wołała-

bym raczej uniknąć jego uwagi. Bo wiem, że nie podoba mu się to, co widzi. Założę się, że zaraz każe mi założyć zgrzebny wór. Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Wiesz, że nad wodą będzie zimno, prawda?

Chwytam więc pierwszą lepszą bluzę z kapturem i mijam go.

– Zadowolony?

Schodzimy razem na dół. Gdy zbliżamy się do głównych drzwi, z kuchni wychodzi pan Kane.

– Bieriecie Szmaragd? – pyta nas oboje, ale patrzy na syna. Szmaragd to nazwa należącej do Royca czarno-szmaragdowej łodzi Nautique G25. Jego ukochanego „maleństwa”.

Wreszcie spogląda też i na mnie. Ma niebieskie oczy o oceanicznym odcieniu – tak głębokim, że mógłby pochłonąć mnie całą. Z panem Kanem nie łączy nas żadna szczególna więź, więc w sytuacjach sam na sam atmosfera między nami jest nieco sztywna. Być może wcale nie chciał mnie adoptować albo spodziewał się po mnie czegoś innego.

– Tak, trochę minęło od ostatniego razu. – Royce trąca tatę ramieniem. – Chcesz wpaść i poślizgać się na desce²? Czy może robisz się już na to za stary?

Tata odpycha go roześmiany, prezentując bicepsy.

– Podniósłbym jedną ręką ciebie, Orsona i tę parowę Storma. – Znow na mnie zerka. – No i jeszcze Jade do tego.

Royce prycha. Łapie mnie za rękę i ustawia za sobą.

– Może lepiej nie. Jeszcze by spadła i zraniła się w tę małą, ładną główkę.

Tata wybucha śmiechem, po czym znika w kuchni, a my idziemy do garażu z miejscami na dziesięć samochodów. Niebo jest zupełnie czyste, więc gdy wychodzimy na podwórko momentalnie czuję ciepło słońca na skórze. Roy otwiera drzwi garażowe. Z tego, co mówili, Kane'owie mieszkają w tym domu od kilku

² Chodzi o wakeboarding, czyli sport wodny, w którym zawodnik płynie po powierzchni wody na desce, trzymając się liny ciągniętej przez łódź lub wyciąg. Status osobnej dyscypliny uzyskał w roku 1993 – przyp. red.

pokoleń, więc modernizują go co jakiś czas. Rodzice akurat wybudowali ten garaż. Okazał się potrzebny, kiedy ich syn odkrył, że uwielbia wszystko, co szybkie, włącznie z samochodami i motorówkami. A jeśli Royce czegoś chce, to to dostaje. Oczywiście ja też – dlatego miałam dać znać, kiedy będę gotowa, żeby i mnie sprezentowali samochód. Odwlekam to jednak, jak tylko się da, ponieważ nie czuję się z tym zbyt komfortowo. Zresztą mama i tak oznajmiła, że dostanę bmw niezależnie od tego, czy będę tego chciała.

Royce wskazuje forda raptora, a ja wskakuję na siedzenie pasażera i zamykam za sobą drzwi.

Wyciągam telefon, żeby napisać do Sloane, która zapewne nieźle się wkurzy za to, że ominie ją impreza. Na szczęście przyjaźni się ze wszystkimi, więc nie będzie narzekać na nudę.

Zaciągnęli mnie na łódź. Przepraszam! Zobaczymy się później?

Nachyliłam się, by przekręcić kluczyk w stacyjce, a potem przewijam playlistę. W tym samym czasie Royce przypina do samochodu łódź na przyczepie. Po niespełna kwadransie zjawiają się Orson wraz ze Stormem i włączają na tylne siedzenie. Odpalam Tech N9ne'a, ponieważ jego agresywne brzmienie pomaga mi ukoić myśli. Następnie otwieram okno, kładę nogi na desce rozdzielczej i odbieram od Orsona łódzkę turystyczną.

Kręcę głową.

– Co to jest? Fioletowy Jack Daniel's?

Chłopak otwiera butelkę, a następnie upija parę łyków.

– Tak, będzie ci smakował.

Siadając za kierownicę, Royce ściska moją nogę. Przez moment padające od jego strony promienie słońca nieco mnie oślepiają, ale widzę, że założył odwróconą daszką do tyłu czapkę. Znów oblizuje usta. Dostrzegam też dołeczki w jego policzkach,

aż wreszcie, po jakimś czasie, orientuję się, że docieramy już do przystani, gdzie czeka na nas grupa osób z liceum. Royce, Orson i Storm rządzą szkołą jak bogowie, ale jednocześnie każdy z nich jest inny. Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że to zwykłe dupki i uprzywilejowane snoby. Wszak Orson jest synem Larkena, który plasuje się na czwartym miejscu listy miliarderów „Forbesa”. Co ciekawe tuż za nim, na miejscu dziesiątym, znajduje się Bessen, czyli matka Storma. Natomiast ojciec Royca, to znaczy mój i Royca, trafił na miejsce drugie. Tymczasem żaden z tych chłopaków zupełnie nie wpisuje się w stereotyp drania dającego wszystkim w szkole wycisk. Co więcej, szczerze zależy im na liceum Stone View, jak gdyby było ono ich własnym domem. Po prostu wszyscy trzej są dobrymi ludźmi.

Gdy wyskakuję z pikapa, Orson chwytą mnie nagle i zarzuca sobie na ramię, zamykając za nami drzwi.

– Postaw mnie! – Biję go bezskutecznie pięściami po umięśnionych plecach. Goście są już na tyle przyzwyczajeni do tego, jak obchodzą się ze mną moi bracia, że nikogo to nie dziwi. Aczkolwiek dziewczyny zwykle przyglądają się temu z zazdrością, bo każda patrzy na nich zachłannym wzrokiem. Ale nawet jeśli którejś się poszczęści – zwłaszcza z wiecznie nienasyconym Roycem – zazwyczaj ich chwila triumfu szybko mija. Z reguły nie mają nawet co liczyć na drugi raz.

– Postaw mnie, proszę! Zrobiłam to, co chciał Royce: przyjechałam!

Czuję, jak ramiona Orsona drżą pod moim ciężarem.

– Wiem, ale, widzisz, mamy mały problem...

– Niby jaki? – pytam, rozglądając się dookoła, żeby sprawdzić, kto przyjechał oprócz nas. Widzę sporo osób ze swoimi ekipami i niemal wszyscy są już na łodziach, których jest tu kilka. Zaczumowano je przy ciągnących się od plaży tratwach. Zewsząd dobiega muzyka, śmiech i odgłosy wznoszenia toastów. Byliśmy prawdziwym utrapieniem dla straży przybrzeżnej, ale mimo wszystko nie czepiali się nas.

– Otóż musimy dać wszystkim do zrozumienia, że jesteś niedostępna.

Przewracam oczami. Jakie to typowe: zabierają mnie na te imprezy głównie dlatego, bo jest im bardzo na rękę fakt, że umiem prowadzić motorówkę, chociaż jestem jeszcze za młoda, aby zrobić patent. Sloane podłącza się do nas z tego samego powodu.

– Księżniczko! – woła Royce, po czym gwizdże na mnie.

Klepię Orsona ponownie w plecy i wreszcie, kurwa, wreszcie stawia mnie na ziemię.

– Co?

Royce szczyrzy się do mnie przez ramię, wprowadzając powoli łódź do wody po rampie.

– Wskakuj na motorówkę, będziesz wydawać rozkazy. – Ludzie z reguły olewają żarciki mojego brata, więc przewracam oczami, zdejmuję klapki i wrzucam swoje rzeczy na tył łajby, zanurzonej już nieco w wodzie. Następnie wchodzę po drabince umieszczonej przy rufie. Royce cofa samochód wraz z przyczepą, aż wreszcie daję mu znać, żeby się zatrzymał. Podczas gdy odpina ją od samochodu, Orson, Storm i kilka dziewczyn dołączają do mnie.

Z zaciśniętymi szczękami zanoszę swoją torbę pod pokład, gdzie znajduje się koka, niewielka kuchnia oraz łazienka. Royce wskakuje na pokład jako ostatni, rzucając mi w twarz swoją koszulkę.

– Uśmiechnij się, Księżniczko. – Nachyla się, a następnie naciska kciukiem moją dolną wargę. – Bo ci jeszcze taka mina zostanie na stałe.

– Royce! – woła go Annette Bird, jego obecna zabaweczka, która siedzi na przedzie obok Bianki i Natashy Daniels. Wszystkie dziewczyny są w obcisłym bikini, a ich ciała są dokładnie nasmarowane oliwką.

Przejeżdżam językiem po zębach.

– Naprawdę żałuję, że nie zostałam w domu. – Mogłabym popisać z Robbie zamiast siedzieć tu i patrzeć, jak wszyscy trzej bawią się swoimi laleczkami Barbie.

– Och. – Royce czochra mi włosy. – Będziesz teraz udawać, że nie lubisz wakeboardingu? – Uśmiecham się mimowolnie, ponieważ wskazuje ręką neonowozieloną deskę. – Szykuj się.

Tanecznym krokiem przechodzę na rufę, gdzie przypinam się do deski. Jestem gotowa, z głośników wydobywa się *Rockstar Cypress Hill*, a my już prawie dopływamy do naszego ulubionego miejsca, znajdującego się praktycznie pośrodku Ocean Tavern. Z gestem *shaka*³ wpadam plecami do wody, która rozpryskuje się pod moim ciężarem. Momentalnie czuję przyływ adrenalinę rozchodzącej się żyłami po całym ciele. Uwielbiam spędzać czas na zewnątrz. Częściowo dlatego, że jestem trochę chłopczycą, przez co w pewnym sensie chyba spełniam marzenie Royca o braciszku. A przynajmniej spełniałam dotychczas, bo czuję, że powoli się zmieniam, choć różowego koloru nadal nie lubię.

Wynurzam się z uśmiechem na twarzy i odgarniam z niej włosy.

– Ty gówniaro! – drze się na mnie Royce, pokazując mi środkowy palec.

– No co? Zawsze tak zeskakuję!

Macha ręką niezadowolony. Co za sztywniak. Zawsze, kiedy mamy poszaleć na desce – a zwłaszcza kiedy ja mam poszaleć na desce – robi się marudny. Rozglądam się. W okolicy jest jeszcze z pięć łodzi. Ktoś pływa, inni bawią się i piją. To nasza typowa forma spędzania wolnego czasu. Zamiast zjeżdżać się gdzieś samochodami – wypływamy łodziami. Ot, takie nadprogramowe zajęcia dla zblazowanych bogaczy.

³ Wywodzący się z kultury hawajskiej gest polegający na podniesieniu ręki zewnętrzną stroną do odbiorcy, zaciśnięciu pięści i wyprostowaniu kciuka oraz małego palca. Oznacza powitanie oraz pozdrowienie. Jest szczególnie popularny w subkulturze surferów – przyp. red.

– Księżniczko – woła Orson, rzucając mi linkę z uchwytem.
– Postaraj się tym razem nie połamać.

– Nie zapeszej! – Popycha go Storm. Ma rozpiętą koszulę, ale tak, by się nie zsunęła. Storm nigdy nie rozstaje się z koszulą. Nie mówi o tym, a Royce zabronił mi go o to pytać. Ma ją na sobie dosłownie zawsze: nawet, jak wchodzi do wody, czy ślizga się na desce.

Łapię uchwyt i ponownie wykonuję gest *shaka*, pokazując przy tym język Roycowi.

– Ponieważ jesteś dziś taka złośliwa, specjalnie będę płynął powoli.

– Ach tak? Dobrze, będę o tym pamiętać, jak przyjdzie twoja kolej!

– Dlaczego nie możesz po prostu spokojnie siedzieć i ładnie wyglądać jak inne dziewczyny? – drażni się ze mną. Nie ma sensu mu odpowiadać, bo jest już za daleko. Ale ma rację: jestem jedyną dziewczyną, która pływa z nimi na desce. Aczkolwiek to ich wina: najpierw stworzyli potwora, a teraz dziwią się, że kąsa. Motorówka nagle rusza, a ja zaczynam sunąć po tafli wody jak po maśle. Kiedy przyspiesza konkretniej, wykonuję kilka trików z uśmiechem na twarzy. Czuję się odprężona. Uwielbiam to. Powodem, dla którego początkowo nie chciałam z nimi jechać, bynajmniej nie była niechęć do wakeboardingu, lecz do całego tego imprezowania, które następuje potem w jaskini Orsona.

Owszem: w jego jaskini.

Royce robi ostry skręt, a ja wykonuję *Big Worm*⁴. Pędzimy tak jeszcze przez kolejne dwadzieścia minut, podczas których zaliczam wszystkie znane mi akrobacje. Następnie, kiedy już zaczynam opadać z sił, wciągają mnie na motorówkę, choć wcale się z tego nie cieszę.

Orson podnosi mnie za ramiona.

⁴ *Big Worm* - z ang., akrobacja polegająca na wyskoku połączonym z obrotem o 540° (przy p. red.).

– Nie smuć się, dziewczyno. I tak pływasz na desce dłużej niż którykolwiek z nas.

– To prawda – zaśmiewam się. Rozpinam kamizelkę ratunkową, zostając w samym bikini. Ręcznikiem osuszam włosy, a Royce podaje mi butelkę wody.

– Wszystko gra? – pyta, a wtedy zjawia się Annette, która obejmuje go od tyłu za brzuch swoimi chudymi ramionami.

– Tak – potakuję i wchodzę na dach łodzi, żeby się poopalać. Przez resztę dnia pozostali płyną na desce, a Storm łowi ryby. Słońce powoli chowa się za chmurami, gdy Royce otwiera pierwszą butelkę alkoholu.

Wiem, że nie powinnam, jednak tym razem jestem autentycznie zazdrosna. Jasne, jeszcze nigdy nie byłam pijana, a Royce i tak nie pozwoliłby mi się upić. Ale pomarzyć zawsze można...

Przechodzę na dziób łodzi i po chwili płyniemy wraz z pozostałymi motorówkami do Mount Aetos, czyli góry, która należy do Orsona, bo Aetos to jego nazwisko. To po prostu wysepka pośrodku oceanu, na której znajduje się warta miliard dolarów, wybudowana na głazach, posiadłość jego rodziców. Dlatego do domu Orsona można dostać się tylko łodzią, przez co zwykle śpi u nas – i to też wyjaśnia, skąd wzięło się to boisko do koszykówki na naszym podwórku. Jaskinia odchodzi łukiem od samej wyspy, dalej natomiast znajduje się plaża z białym, drobnym piaskiem. Stopy zapadają się w nim jak w śniegu. Woda wokół jest spokojna, i zupełnie niewzburzona.

Do brzegu docieramy już prawie o zmroku. Storm wyciąga swój łuk, podpala grot strzały i celuje w stertę gałęzi ułożonych na plaży. Wypuszcza ją i po chwili z ogniska buchają już płomienie.

Wszyscy w szkole wiedzą o tej miejscówce oraz o tym, kto uczestniczy w naszych weekendowych wypadach, aczkolwiek to dość ekskluzywna impreza. Nie dlatego jednak, że nikogo nie zapraszamy, ale bardziej przez to, że nie każdy ma łódź, a jeśli już, to mieści się na nich określona liczba pasażerów. Zupełnie

inaczej to wygląda, kiedy Orson bierze jacht swojego taty. To jednostka za miliony dolarów, a jej nazwa – Vegas – doskonale oddaje jej charakter. Jest jak pływająca imprezownia utrzymana w stylistyce Miasta Grzechu. Ojciec Orsona jest Grekiem, a mama była Amerykanką. Od jej śmierci Larken bywa w tym domu bardzo rzadko, więc chłopak przez większość czasu jest sam.

Trzymając kurczowo klapki i bluzę, zeskakuję do wody, by wyjść na brzeg. Muszę się oddalić, bo nie mogę już patrzeć na Royca obłapianego przez Annette. Nie wiem dlaczego, ale nie potrafię się z tym pogodzić. Za każdym razem, gdy go obejmuje, żołądek mi się skręca. Szczególnie, że on nie bardzo odwzajemnia jej gesty. Z ich dwojga tylko ona okazuje publicznie uczucia, a on nigdy. *Dlaczego ja w ogóle o tym myślę?*

– Hej! – Macha do mnie dziewczyna z długimi, kręconymi włosami i kilkanaście kolczykami na twarzy. Ma na sobie obcięte jeansy, kraciastą koszulę i, o rany, martensy? Uwielbiam martensy, ale dlaczego ona nosi je w takim miejscu?

– Cześć! – Podchodzę do niej, bo siedzi sama z zapalonym papierosem w ustach. Oczywiście wygląda niesamowicie, ale widzę ją tu po raz pierwszy. W ogóle widzę ją po raz pierwszy. Nie kojarzę nikogo takiego ze szkoły.

– Jesteś tu nowa? – pytam i siadam na jednym z pieńków otaczających płonące wściekle ognisko, w którym co chwilę trzaskają gałęzie. Czuję ciepło ognia na policzku.

Kiwa głową, unosząc butelkę szampana.

– Jasne, że tak. I muszę przyznać... – Przygląda się pozostałym. – Że nie widzę tu żadnej dziewczyny, z którą chciałabym się zaprzyjaźnić.

Zaśmiewam się, zakładając moją bluzę Calvina Kleina, którą zapinam pod samą brodę. Cieszę się, że wzięłam szorty, ale jeszcze lepszym pomysłem byłyby po prostu jeansy. Zazwyczaj, kiedy na dole wzniesienia, na którym jest willa Orsona, impreza rozkręca się na całego, ja idę do domku basenowego – bo tak

każe Royce – więc pocieszam się myślą, że i tak nie będę tu długo marznąć.

– Nie są takie złe...

– Jasne, jasne... – odpowiada dziewczyna, po czym strąca popiół z papierosa. Wyciąga do mnie rękę. – Jestem India, a ty? – pyta, na co rzucam jej zdziwione spojrzenie. Nie przywykłam do zawierania nowych znajomości. Nie dlatego, że tego nie chcę, po prostu z jakiegoś powodu inni zwykle mnie olewają. Nawet Sloane w pewnym momencie zorientowała się, że jestem jakaś dziwna, ale to było już po tym, jak się zaprzyjaźniłyśmy, więc nie mogła się wycofać.

Ściskam dłoń Indii.

– Jakie ładne imię. Mi często mówią, że wyglądam, jakbym miała hinduskie korzenie, więc zaczęłam wmawiać innym, że mam dziadka z Indii. Czuję się przez to kozacko.

India wybucha śmiechem, po czym spogląda mi w oczy.

– No, coś w tym jest. Jesteś opalona, masz ciemne włosy i... – Nachyla się do mnie tak blisko, że stykamy się nosami. – Jakiego koloru są twoje oczy?

Odsuwam się odrobinę, nieco zaskoczona tą jej bezpośredniością.

– Ach, są zielone. Jestem Jade.

– Wow! Fajne imię!

– Jak chcesz, to możemy się zamienić. – Chowam ręce w kieszeniach bluzy i zerkam na ognisko. Z tyłu dobiega głośnie muzyka. Nie muszę się nawet oglądać, żeby wiedzieć, co się tam dzieje: *tiki bar*⁵ jest już otwarty, kolorowe światelka włączone, a graffiti wykonane na skale przez Royca doskonale oświetlone, tak aby wszyscy mogli je podziwiać. Spoglądam na nie. Utrzymane jest w odcieniach zieleni – limonkowym, leśnym, oceanicz-

⁵ *Tiki bar* – rodzaj barów tematycznych, których wystrój nawiązuje do nieco wyidealizowanej wizji kultur tropikalnych, zwłaszcza polinezyjskich. Najczęściej podaje się w nich wyszukane koktajle i drinki, których podstawą jest rum – przyp. red.

nym, turkusowym i jadeitowym. Przedstawia liczbę „2000” zapisaną charakterystyczną czcionką. To rok, w którym zostałam adoptowana przez Kane’ów. Podejrzewam jednak, że oprócz nas dwojga chyba tylko Orson i Storm rozumieją znaczenie tego dzieła. Zawsze, gdy na nie spoglądam, serce bije mi nieco mocniej. Nigdy nie miałam żadnych wątpliwości co do tego, jak ważna jestem dla Royca i on dla mnie. Miłość to miłość, a kiedy jest bezwarunkowa, trwa przez całe życie.

– Nie ma mowy. Twoje za bardzo do ciebie pasuje. Co tu właściwie robisz? – pyta India, gasząc papierosa w piasku. – Nie obraż się, ale wyglądasz na nieco młodszą od pozostałych.

Gdy zbieram się, żeby jej odpowiedzieć, Orson łapie mnie mocno za ramiona i pyta:

– Co tam, Księżniczko, zawierasz nowe znajomości?

– Owszem – odpowiada mu z uśmiechem India. I znowu się zaczyna: jak tylko dziewczyny z mojego otoczenia poznają moich braci, skupiają na nich całą swoją uwagę i wszystko wraca do punktu wyjścia, a ja zostaję sama ze Sloane. Większość moich rówieśniczek to zwykłe oportunistki. Wykorzystują znajomość ze mną, żeby zbliżyć się do któregoś z nich.

India wyciera dłoń i podaje ją Orsonowi z przyjaznym uśmiechem.

– Jestem India.

Orson mierzy ją wzrokiem, a po chwili obok niego zjawiają się Royce i Storm.

– Orson.

Przedstawiają się sobie po kolei, ale zauważam przy tym coś dziwnego: India wydaje się w ogóle niezainteresowana moimi braćmi. To coś nowego.

Może jest inna?

Ognisko pali się już na całego. Royce podchodzi do mnie od tyłu i obejmuje jedną ręką w talii, ponieważ w drugiej trzyma czerwony kubek. Przysuwa nos do mojej szyi, po czym pyta:

– Mmm, zawsze tak ładnie pachniesz? – Jego głos jest niski, rozchodzi się po moim ciele, trącając każdy nerw.

– Och, czyli gustujesz w nieco starszych od siebie? – India przygląda się nam z uniesioną brwią.

– Co? – Przerażona robię wielkie oczy. Odpycham od siebie Royca, który rechocze tak głośno, że aż odchyła głowę do tyłu.
– Nie! To mój brat.

– Serio? – pyta zdezorientowana. Unosi kącik ust w półuśmiechu, ale nie jest to wyraz obrzydzenia, a raczej szoku.

– Tak. Co prawda przybrany, ale brat.

– „Przybrany brat” to jak synonim luki prawnej. Tak tylko mówię... – drażni się ze mną Royce, pokazując zadziornie język.

Przewracam oczami.

– Nie zwracaj na niego uwagi. Upił się albo naćpał.

Roy wybuchą śmiechem, a w tym samym momencie zjawia się Annette, która obejmuje go od tyłu za szyję.

– A ty? – zwraca się do mnie India. – Pijesz, palisz?

– Nie – odpowiada za mnie mój strażnik, rzucając mi wymowne spojrzenie. – Jest za młoda.

Zaciskam zęby. Co prawda jestem przyzwyczajona do jego nadopiekuńczości i tego kontrolowania mnie na każdej imprezie, ale za każdym razem, kiedy to robi, moja cierpliwość powoli się wyczerpuje.

– Ma piętnaście lat, nie dwanaście. – India przewraca oczami i zanim mogę cokolwiek odpyskować swojemu, tak zwanemu, bratu, mam już w dłoni czerwony kubek z chlupoczącym wewnątrz alkoholem, który ulewa mi się nieco na rękę. – Jeden nie zaszkodzi. Poza tym wiesz, że to ode mnie, a nie jakiegoś podejrzanego skurwiela z baru.

Royce nachyla się, żeby zabrać mi kubek, na co odsuwam się i unoszę zadziornie brwi.

– Wiesz, ona ma rację. No bo co może mi się stać, skoro w pobliżu są moi trzej nadopiekuńczy bracia, którzy bez problemu przepędzą każdego, kto na mnie spojrzy?

– Księżniczko... – odzywa się Royce ostrzegawczym tonem.

– Zostaw ją – jęczy Annette, całując go w kark. – I tak nikt jej nie tknie – śmieje się, ale Royce odpycha jej rękę.

– Royce, tylko ten jeden raz. Nie będę prosić o pozwolenie. – Mrużę oczy, rzucając mu wyzwanie. Wiem, że będzie się o to kłócił i, jak to on, nie odpuści. A fakt, że inni patrzą, nie ma dla niego żadnego znaczenia. Postanawiam więc go uprzedzić i nie dać dojść do słowa: momentalnie odwracam się od nich, żeby zagadać do Indii: – Jak to możliwe... – mamroczę, popijając, chyba, burbon z colą, co jest mi w sumie obojętne, skoro i tak postawiłam już na swoim – że nie widziałam cię jeszcze na żadnej z tych imprez?

India śmieje się, ale po chwili nieco zasępiea, co też szybko próbuje ukryć. Blask ognia odbija się pomarańczową barwą na jej białych policzkach.

– Po prostu jestem tu nowa. W poniedziałek zaczynam zajęcia w klasie maturalnej, z czego niezbyt się cieszę.

Odstawiam pełny kubek na piasek i opatulam się szczerzej bluzą.

– Stone View jest całkiem spoko. To zupełnie jak Hogwart, z tym że są tam sami mugole, a zamiast Hagrida mamy Hagdida. Nie ściemnam: nasz dyrektor nazywa się Hagdid.

Obie wybuchamy śmiechem i po chwili rozmowa zaczyna się toczyć swobodniej. Po wymienieniu się numerami telefonów z Indią, podnoszę się i otrzepuję tyłek z piasku.

– Napiszę do ciebie w niedzielę, może się spotkamy? Poznałabyś Sloane. Założę się, że dogadacie się niepokojąco szybko.

India przygląda mi się bacznie swoimi piwnymi, pełnymi tajemnic, oczami. Otacza ją dziwna aura, jakby przeżyła już z tysiąc żyć. Co ona w ogóle robi w Lake View?

– Jasne! – Puszczaj mi oczko. – Do zobaczenia, Mała J.

Nie cierpię tego imienia, ale ją polubiłam.

Ze spuszczoną głową przemierzam morze pijanych ciał. Jestem już prawie na stromej ścieżce łączącej plażę z podwórkiem domu Orsona, kiedy nagle ktoś łapie mnie za rękę.

– Royce. – Spodziewam się jakiegoś głupawego uśmiešku na jego twarzy lub ochrzaniu za picie. Odwracam się więc, ale on tylko wpatruje się, mierząc wzrokiem moje ciało.

– Chcesz wracać do domu?

Przesuwam językiem po zębach.

– Jest późno. Możemy przekimać w domku basenowym. – Łącząca nas od dziecka więź stawiała się przez te wszystkie lata tylko silniejsza. Myślę, że tak naprawdę narodziła się już od naszego pierwszego spotkania. Od tamtej pory, kiedy przebywaliśmy ze sobą, miałam wrażenie, jakby wszechświat wokół nas się zakrzywiał. Jakby on odcisnął piętno na moim sercu, a ja wypaliła mu swoje imię na rękach. Pomimo częstych kłótni bardzo się kochamy. Jedno nie jest w stanie istnieć bez drugiego.

Royce Kane jest niewątpliwie moim najlepszym przyjacielem.

Gestem brody wskazuje ocean.

– Nie wypilem dużo. Mogę poprowadzić łódź. – Zsuwa mi rękę niżej po ramieniu, tak że nasze palce się splatają, czym wywołuje we mnie wrażenie, jakby moje serce dopiero zaczęło bić. Słyszę szum krwi w uszach i rumienię się. Tak kurewsko się cieszę, że nie widać tego, bo jest ciemno. – No chodź, Książniczko...

– Ja mam piętnaście, a on osiemnaście lat. Nigdy nie czuję się przy nim niekomfortowo w tym sensie. Nigdy, aczkolwiek... zaraz. *Chwila, kurwa. Dlaczego ja w ogóle zastanawiam się nad naszym wiekiem?*

Wstrząśnięta odrazą, którą nagle poczułam, odsuwam się od niego i obejmuję ramionami, aby się osłonić.

Jakby to miało coś dać...

Kiedy Royce czegoś zapragnie, gotów jest rozszarpać wszystko, co stanie mu na drodze do celu.

– Nie chcę potem się tłumaczyć innym. Pójdę po prostu na górę. – To nie było do końca kłamstwo, bo serio nie miałam ochoty użerać się z tymi wszystkimi pytaniami i spojrzeniami, które posypałyby się, gdybyśmy odpłynęli teraz Szmaragdem.

– Jebać ich – rzuca, wzruszając ramionami.

Otwieram usta, by zaproponować, abyśmy po prostu zostali na łodzi zamiast w domku basenowym, ale wtem na brzuchu Royca pojawiają się chude dłonie z pomalowanymi na czerwono paznokciami. Annette. Patrzy na mnie znad jego ramienia.

– Hej, kochanie, jestem zmęczona, pójdziemy na twoją łódź, jak obiecałeś?

Czuje, jak ściska mi się żołądek i zaczyna brakować tchu.

Zaprosił ją, kurwa, na łódź przede mną. Pełna szczerego gniewu odwracam się na pięcie i ruszam biegiem po schodach prowadzących do domu. Zazwyczaj wchodzę po nich powolutku, bo jest ich tak wiele i zawsze chcę się nacieszyć pięknym widokiem, ale tym razem muszę jak najszybciej oddalić się od nich obojga. Pięć minut później jestem już na górze, jednak nie zatrzymuję się. Przebiegam przez idealnie przystrzyżony trawnik, obok oświetlonego basenu, po czym dopadam do drzwi domku basenowego. Odsuwam je na bok i wchodzę do środka, ryglując je za sobą. Serce wali mi jak opętane, a oczy zachodzą łzami. *Kurwa, dlaczego ja płaczę?* W głębi duszy wiem, że zachowuję się irracjonalnie. Bo przecież Royce cały czas popisuje się z kimś u swojego boku. Dlaczego tym razem odbieram to inaczej? Dlaczego czuję się tak, jak nigdy dotąd?

Zdejmuję bluzę i rzuca ją na podłogę. Ocierając łzy, idę na drugi koniec pomieszczenia, gdzie czeka na mnie pojedyncze łóżko.